

się z czeladzią. Matka moja zwykle mówiła, że kto bawi się z dziećmi służby, tego w końcu obłączą wszy – i trochę prawdy jest w tych słowach.

Lavrans i Ragnfrida zamilkli. Krystyna odwróciła się, a chęć uściskania Szymona Darre, jaką czuła przed chwilą, odeszła ją zupełnie.

☞ W południe Lavrans i Szymon wzięli narty i wyszli, by obejrzeć ustawione w lesie paści. Pogoda była teraz piękna, nie-mroźna i słońce świeciło. Obaj mężczyźni czuli się dobrze z dala od smutku i płaczu w domu i szli coraz wyżej aż poza górną granicę drzew.

Odпочęli w słońcu pod skałą, jedli i pili, potem Lavrans opowiadał trochę o Arnem – obiecywał sobie wiele po tym chłopcu. Szymon wtórował mu, chwalił zmarłego i powiedział, że nie wydaje mu się bynajmniej dziwne, że Krystyna smuci się po towarzyszu młodości. Wtedy Lavrans rzekł, że nie powinno się nalegać na nią, tylko dać jej nieco czasu, by wróciła do spokoju, zanim odprawią zrękowiny. Wspomniał o tym, że chętnie poszłaby na jakiś czas do klasztoru.

Szymon podniósł się i gwizdnął przez zęby.

– Nie wydaje ci się to słuszne? – zapytał Lavrans.

– Owszem, owszem – rzekł tamten prędko. – To w istocie najlepsza rada, drogi teściu. Oddaj ją na rok do sióstr w Oslo, niechże pozna, jak ludzie w świecie mówią o sobie nawzajem. Znam ja parę dziewic, które tam są – rzekł ze śmiechem. – Te na pewno nie umierałyby z rozpaczony to, że dwóch szaleńców na śmierć się przez nie pobiło. Nie życzyłbym sobie takiej własnie za żonę, ale nie sądzę, żeby było ze szkodą dla Krystyny, gdy pozna nowych ludzi.

Lavrans spakował resztę żywności i rzekł nie podnosząc oczu:

– Kochasz Krystynę, zdaje mi się.

Szymon roześmiał się i nie patrząc na Lavransa rzekł:

– Możesz wierzyć, że jest mi droga... I ty także – dodał szybko i krótko. Wstał i wziął narty. – Nie spotkałem żadnej, którą bym chętniej pojął za żonę.

☞ Niedługo przed Wielkanocą, kiedy trzymała się jeszcze sanna w dolinie i na jeziorze Mjøse, udała się Krystyna po raz wtóry na południe. Szymon przybył na Jørund, by odprowadzić ją do klasztoru, wybrała się więc w podróż z ojcem i narzeczonym; jechała w saniach, otulona w futra, a za nimi jechali pacholki i sanie wiozące skrzynie z jej odzieżą i darami, z żywnością i futrami dla ksieni i sióstr.

Pewnej niedzieli rankiem, gdzieś w końcu kwietnia łódź Aasmunda syna Bjørgulfa okrążała cypel Hovedø; dzwoniły dzwony w kościele klasztorным i odpowiadał im przez zatokę dźwięk dzwonów z miasta to słabiej, to znowu mocniej, zależnie od siły wiatru.

Wysoko rozпинаło się błękitnobiałe niebo z jasnymi, postrzępionymi chmurkami, pędzonymi wiatrem, a blask słońca drżał niespokojnie na pomarszczonej wodzie. Wzdłuż wybrzeży wszystko było wiośniane, pola niemal wolne od śniegu, na krzewach leżały niebieskie cienie i żółtawy połysk. Lecz wyżej, w jodłowym lesie, okalającym niby rama dwory na Aker, widać jeszcze było śnieg, a na dalekich górach na zachodzie z drugiej strony fiordu połyskiwało dużo białych plam.

Krystyna stała na dziobie łodzi z ojcem i Gyridą, żoną Aasmunda. Zapatrzyła się na miasto, gdzie jasne kościoły i kamienne domy wznosiły się wysoko ponad stłoczonymi szarobrunatnymi sadami i gołymi koronami drzew. Wiatr igrał w połach jej płaszcza i wyszarpywał włosy spod czepka.

Na Skog wypuszczono poprzedniego dnia bydło na pastwiska, i znowu poczuła Krystyna wielką tęsknotę za Jørund. Jeszcze wiele wody upłynie, nim tam w górach będą mogli wypuścić bydło – tkliwie i współczująco tęskniła za wychudłymi zimą krowami w ciemnych oborach; jeszcze długo będą musiały czekać i mieć cierpliwość. Matka, Ulvhilda, która przez te wszystkie lata co noc spała w jej ramionach, mała Ramborga – tak bardzo tęskniła za nimi; tęskniła za wszystkimi ludźmi w domu, za końmi, psami, za Kortelinem, który podczas jej nieobecności miał należeć do Ulvhildy, za sokołami ojca, które z zakapturowanymi głowami siedziały na żerdkach; pomyślała też o rękawicach z końskiej skóry, które wkładano biorąc sokoły na rękę, i o laseczkach z kości słoniowej, którymi je drapano.

Zdawało jej się, jakoby całe zło tej zimy odsunęło się w dal, i wspominała swoje rodzinne strony tylko takimi, jakimi były

przedtem. Powiedziano jej zresztą, że nikt we wsi nie myślał tak źle o niej. Również sira Eirik nie wierzył w to; był gniewny i stroskany tym, co zrobił Bentein. Ten zaś zdołał uciec z Hamaru; mówiono, że zbiegł do Szwecji. Nic więc tak okropnego, o co się najbardziej bała, nie leżało między nimi a sąsiedzkim dworem.

Podczas podróży bawili w gościnie w domu Szymona; poznała jego matkę i rodzeństwo; rycerz Andrzej bawił jeszcze w Szwecji. Nie podobało jej się tam, a niechęć do ludzi z Dyfrina była tym silniejsza, im bardziej Krystyna zdawała sobie sprawę, że nie ma ku niej żadnej uzasadnionej przyczyny. Przez całą drogę w tamtą stronę mówiła sobie, że rodzina Szymona naprawdę nie ma powodu pysznić się i uważać za lepszą od rodu Lavransa; nikt nie słyszał nigdy o Birkebeinie Reidarze Darre, zanim król Sverre nie dał mu za żonę wdowy po wasalu na Dyfrinie. Ale też bynajmniej nie zadzierali nosa i sam Szymon pewnego wieczora opowiadał o tym swoim przodku: – Tyle tylko mogłem się wywiedzieć o nim, że wyrabiał grzebień, wejdiesz więc w królewski ród*, Krystyno – powiedział. – Strzeż swego języka, synu – rzekła matka, ale wszyscy się roześmieli. Tak straszliwie smutno jej było, gdy myślała o ojcu. Śmiał się głośno, ilekroć Szymon dał ku temu najmniejszy powód, i przecucie jej mówiło, że ojciec chętnie może śmiały się więcej w swym życiu. Nie mogła jednak znieść tego, że ojciec tak bardzo lubi Szymona.

Przez Wielkanoc wszyscy bawili na Skog. Zauważyła, że jej stryj był surowym gospodarzem dla chłopców i czeladzi; ten i ów pytał o jej matkę i mówił ze wzruszeniem o Lavransie – lepiej im się wiodło, kiedy on tutaj mieszkał. Matka Aasmunda, macocha Lavransa, miała na dworze osobny dom dla siebie; nie była jeszcze zbyt stara, ale chorowita i słaba. Lavrans rzadko tylko mówił w domu o niej. Raz, kiedy go zapytała, czy miał złą macochę, ojciec odrzekł: „Niewiele ona dla mnie zrobiła dobrego czy złego”.

* Aluzja do niskiego pochodzenia Sverrego, którego potomek, Haakon V, panował podówczas w Norwegii.

Krystyna chwyciła rękę ojca, on zaś uściśnął jej dłoń.

– Już ty się rozweselisz, moja córko, u czcigodnych sióstr. Coś innego będziesz tam miała do roboty jak tęsknić za domem.

☞ Płynęli tak blisko miasta, że woń dziegiu i solonych ryb niosła się od przystani aż do nich. Gyrida wymieniała kościoły, dwory i place położone nad wodą. Krystyna nie poznawała niczego od ostatniego swego pobytu prócz ciężkich wież kościoła św. Halvarda. Objechali całą zachodnią część miasta i przybili do przystani obok klasztoru.

Krystyna szła między ojcem i stryjem obok nadbrzeżnych szop, aż weszli na drogę między polami. Za nimi szła Gyrida, którą Szymon prowadził pod rękę. Służba została z tyłu, by z pomocą paru ludzi z klasztoru załadować toboły podróżne na wózek.

Klasztor benedyktynek i cały Leiran leżały w obrębie miasta, ale przy drodze tylko tu i ówdzie stały domy. Ponad głowami idących skowronki wywodziły w błękicie swe trele, na płowych, gliniastych zboczach żółciło się kwiecie, a wzdłuż płotów zieleniło się wszystko aż po korzonki traw.

Gdy przekroczyli bramę i weszli w kruzganek, z kościoła wychodziły właśnie w ich stronę zakonnice, a śpiew i muzyka płynęły z otwartych wrót.

Ze ściśniętym sercem patrzyła Krystyna na owe w czerni ubrane kobiety z białymi welonami wokół twarzy. Skłoniła się głęboko, mężczyźni zaś pochylili się przyciskając kapelusze do piersi. Za zakonnicami szła gromada młodych dziewcząt – niektóre z nich były jeszcze dziećmi – w sukniach z nie barwionej surowej wełny, przepasanych czarno-białymi sznurkowymi plecionkami, włosy miały takimi samymi sznurkami mocno ściągnięte w warkocze. Krystyna mimo woli spojrzała na dziewczętą z dumną miną, gdyż w onieśmieleniu lękała się, by nie przypuszczały, że wygląda głupio i z chłopska.

Klasztor przytłaczał ją niemal swą wspaniałością. Wszystkie budynki dokoła wewnętrznego dziedzińca były z szarego kamienia. Po stronie północnej podłużna ściana kościoła przewyższała znacznie resztę domów; dach wznosił się w dwóch

poziomach, a po stronie zachodniej była wieża. Dziedziniec wyłożony był kamieniami, naokoło biegł sklepiony krużganek, którego dach podierały piękne kolumny. W środku stał kamienny posąg, wyobrażający *Mater Misericordiae*, jak rozpostiera płaszcz nad kilku klęczącymi ludźmi.

Nadeszła siostra świecka i poprosiła, by się udali za nią do rozmównicy ksieni. Pani Groa córka Guttorma, kobieta w podeszłych latach i okazała, byłaby ładna, gdyby nie szpecił jej zarost koło ust. Głos miała głęboki jak mężczyzna, zachowanie ujmujące; rozmawiała z Lavransem o jego rodzicach, których znała, wypytywała go o żonę i resztę dzieci. W końcu zwróciła się uprzejmie do Krystyny:

– Słyszałam o tobie wiele dobrego i wyglądasz na mądrą i dobrze wychowaną dziewczynę, z pewnością nie dasz nam powodu do niezadowolenia. Dowiaduję się, żeś przyrzeczona za żonę temu oto szlachetnemu i zacnemu mężowi, Szymonowi synowi Andrzeja, i wydaje mi się roztropnym zamysłem twego ojca i przysłego małżonka, że pozwolili ci zamieszkać czas pewien w domu Maryi, byś się nauczyła słuchać i służyć, zanim się znajdziesz na miejscu, z którego będziesz rozkazywać i kierować. Chcę przede wszystkim, abyś pojęła, że radości szukać należy w modlitwie i służbie Bożej, by ci się stało przyzwyczajeniem we wszystkich czynach i pracach pamiętać o twoim Stwórcy, miłosiernej Matce Bożej i wszystkich świętych; oni to bowiem są dla nas najlepszym wzorem siły, prawości, wierności i tych wszystkich cnót, które musisz okazać, jeśli masz rządzić domem i czeladzią, i wychowywać dzieci. Poza tym nauczysz się też w tym domu, że człowiek musi dawać baczenie na czas, tu bowiem każda godzina ma swoje przeznaczenie i należą jej prace. Wiele dziewcząt i kobiet zbyt lubi wylegiwać się do późnego rana w łożu, a wieczorami przesiadywać długo przy stole i zabawiać się niepotrzebną gadaniną. Wprawdzie ty nie wyglądasz na taką, w każdym jednak razie możesz się w ciągu tego roku nauczyć wielu rzeczy, które ci zarówno tutaj, jak i na tamtym świecie przysporzą powodzenia.

Krystyna pokłoniła się i ucałowała jej rękę. Po czym pani Groa poleciła dziewczynie udać się z niezmiernie otyłą starą za-

konnicą, którą zwała siostrą Potencją, do refektarza. Mężczyzn i panią Gyridę zaprosiła na posiłek do drugiej izby.

Refektarz był piękną salą, miał wyłożoną płytami podłogę i ostrołukowe okna ze szklanymi szybami. Drzwi prowadziły do drugiej izby i Krystyna zobaczyła, że i tam są okna, gdyż wewnątrz jaśniało słońcem.

Siostry siedziały już przy stole i czekały na posiłek – starsze zakonnice na wyłożonej poduszkami kamiennej ławie pod ścianą z oknami, młodsze siostry i dziewczęta z odkrytymi głowami siedziały w swych jasnych sukniach na drewnianej ławie po zewnętrznej stronie stołu. Także w sąsiednim pokoju nakryty był stół, przeznaczony dla poważniejszych jałmużników* i sług świeckich. Wśród nich znajdowało się kilku starych mężczyzn; ci nie nosili klasztornych szat, byli jednak odziani ciemno i godnie.

Siostra Potencja wskazała Krystynie miejsce po zewnętrznej stronie, po czym sama stanęła za stołem obok poczesnego miejsca ksieni; miejsce to dziś było puste.

Wszyscy powstali zarówno w tej izbie, jak i w sąsiedniej, gdy siostry odmawiały modlitwę przed jedzeniem; po czym wystąpiła młoda, piękna zakonnica i weszła na małą kazalnicę ustawioną w przejściu między salami. I podczas gdy dwie siostry świeckie w refektarzu, a dwie młodzietki zakonnice w drugiej izbie wносиły jadło i napoje, czytała głośno i dźwięcznie, bez zatrzymywania się i jąkania, historię o świętej Teodorze i świętym Dydymie.

Zrazu myślała Krystyna jedynie o tym, by okazać przy stole dobre obyczaje, widziała bowiem, że wszystkie siostry i dziewczęta zachowywały się z godnością i jadły tak wytwornie, jak gdyby były na najwspanialszej uczcie. Było pod dostatkiem najlepszych potraw i napojów, ale wszystkie brały umiarkowanie i tylko koniuszkami palców sięgały do mis; nikt nie wylewał sosu na obrus ani na ubranie, mięso zaś krajały w tak drobne kawałki, że nie wałały ust, a jadły tak ostrożnie, że nic nie było słychać.

* Osoby pozostające pod opieką klasztoru, który na ich utrzymanie czerpie z dochodów, jakie przynoszą należące do niego prebendy.

Krystyna pociła się z trwogi, że nie potrafi zachować się układnie jak inne, czuła się też nieswojo w swej barwnej odzieży między tymi wszystkimi czarno i biało ubranymi kobietami; zdawało jej się, że wszyscy na nią patrzą. Właśnie gdy chciała zabrać się do jedzenia tłustego mostku baraniego i przytrzymała dwoma palcami kość, a prawą ręką odrzynała kawałki mięsa baczając, by trzymać nóż lekko i zgrabnie, wszystko razem wysliznęło się jej z rąk; chleb i mięso potoczyły się na stół, nóż zaś z brzękiem upadł na kamienne płyty.

Niezwykle głośno zabrzmiało to w cichej sali. Krystyna spłoszowała, chciała się schylić i podnieść nóż, ale już przybiegła bezszelestnie w sandałach jedna z świeckich siostr i pozbierała wszystko. Krystyna jednak nie mogła już nic więcej jeść. Czuła, że zacięła się w palec, i obawiała się, że krwią zawała obrus. Siedziała więc owinawszy rękę w kraj szaty i martwiła się, że popłami piękną niebieską suknię, którą dostała, gdy jechała do Oslo; nie śmiała podnieść oczu.

Powoli jednak zaczęła przysłuchiwać się temu, co czytała zakonnica: „Gdy księciu nie udało się ugiąć niezłomnej dziewicy Teodory – nie chciała ani bogom złożyć ofiary, ani dać się poślubić – rozkazał, aby ją zaprowadzono do domu nierządu. Jeszcze po drodze przypomniawszy jej o jej wolnym pochodzeniu i szlachejnych rodzicach, którzy wydani będą teraz na łup wieczystej hańby, i przyrzekł, że będzie żyła w pokoju i pozostanie dziewicą, o ile wstąpi w służbę pogańskiej bogini zwanej Dianą.

Teodora odparła bez lęku: – Czystość jest niby lampa, ale miłość Boga jest płomieniem; gdybym poszła w służbę diablity, którą zowiecie Dianą, czystość moja nie więcej byłaby warta niż zardzewiała lampa bez płomienia ni oliwy. Nazywasz mnie wolno urodzoną, a przecież wszyscy jesteśmy niewolnikami, odkąd nasi prarodzice zapredali się diabłu. Chrystus odkupił mnie i winna jestem Mu służyć, nie mogę przeto wiązać się z jego wrogami. Obroni On swoją gołębicę, ale gdyby nawet dopuścił, że złamiecie moje ciało, które jest świątynią Jego Boskiego ducha, nie będzie mi to policzone za hańbę, dopóki nie zezwolę, by jego własność przeszła w ręce wrogów”.

Krystynie serce biło mocno, w pewien bowiem sposób przypominało jej to spotkanie z Benteinem, i uderzyła ją myśl, że może to było grzechem z jej strony: ani przez chwilę nie pomyślała wtedy o Bogu, ani Go nie prosiła o pomoc. Teraz siostra Cecylia czytała o świętym Dydimie. Był chrześcijańskim rycerzem, dotychczas jednak nikt krom kilku przyjaciół o tym nie wiedział, gdyż zachowywał tajemnicę co do swej wiary. Otóż poszedł on do domu, gdzie zamknięto dziewczę, przekupił kobietę, do której ów dom należał, i pierwszy wszedł do Teodory. Uciekła w kąt jak przestraszony zając, lecz Dydim pozdrowił ją jako swoją siostrę i oblubienicę Pana i oświadczył, że przybył, aby ją uwolnić. Potem rozmawiał z nią przez czas pewien i rzekł: „Czyż brat nie powinien oddać życia za cześć swojej siostry?”. W końcu uczyniła, jak polecił, zamieniła z nim szaty i włożyła na siebie zbroję Dydyma; on zaś naciągnął jej kaptur na oczy, zapiął wysoko płaszcz i prosił, by wyszła z zasłoniętym obliczem jak młodzieniec, który się wstydzi, że był w takim miejscu.

Krystyna myślała o Arnem i z największym tylko trudem powstrzymywała łzy. Załzawionymi oczyma wpatrzyła się przed siebie, podczas gdy zakonnica czytała koniec historii: jak Dydim został zaprowadzony przed sąd i jak Teodora zbiegła z gór, rzuciła się do nóg sędziego i błagała, aby ją stracił zamiast niego. Dwoje pobożnych sprzeczało się, które z nich ma pierwsze otrzymać koronę męczeńską; zostali straceni jednego dnia. Działo się to 28 kwietnia roku 304 po narodzeniu Chrystusa, w Antiochii, jak to spisał święty Ambroży.

Gdy podnieśli się od stołu, siostra Potencja zbliżyła się do Krystyny i poklepała ją przyjaźnie po policzku. – Pewno tęskno ci za matką, dziecko. – Z oczu Krystyny potoczyły się łzy. Zakonnica udała jednak, że tego nie dostrzegła, i zaprowadziła Krystynę do komnaty, w której miała zamieszkać.

Była to ładna izba ze szklanymi szybami i z wielkim komi-nem w ścianie poprzecznej, leżąca w jednym z kamiennych domostw koło krużganku. Pod ścianą podłużną stało sześć łóżek, po przeciwnej stronie skrzynie dziewcząt.

Krystyna bardzo pragnęła spać z którąś z małych dziewczynek, lecz siostra Potencja zawołała grubą, jasną, dorosłą dziew-

czynę: – Oto Ingebjørga córka Filippusa, z nią będziesz dzielić łożę, zapoznajcie się więc. – Po czym odeszła.

Ingebjørga wzięła Krystynę za rękę i zaczęła gadać. Była niewysoka, tęga, o puciołowatej twarzy, oczy jej wydawały się całkiem małe, gdyż miała nazbyt grube policzki. Płeć jednak miała delikatną, białą i różową, a włosy żółte jak złoto i tak kędzierzawe, że grube warkocze skręcały się jak liny, spod przepaski na czole zaś wymykały się ustawicznie małe kędziorki.

Zaraz zaczęła wypytywać Krystynę o najrozmaitsze rzeczy, nie czekała jednak nigdy odpowiedzi, tylko opowiadała o sobie i wyliczała wszystkie gałęzie swego rodu: byli to sami dzielni i bardzo możni ludzie. Ona zaś była zmówiona z bogatym i znanym człowiekiem, Einarem synem Einara na Aganaes, był on jednak za stary i już dwa razy owdowiał. Twierdziła, że to jest jej największe zmartwienie, Krystyna jednak bynajmniej nie zauważyła, by się tym zbytnio przejmowała. Potem gadały trochę o Szymonie Darre – zdumiewające było, jak Ingebjørga dokładnie mu się przyjrzała przez tę krótką chwilę, gdy się mijali w krużganku. Potem znowu chciała obejrzeć skrzynię Krystyny; najpierw jednak otworzyła własną i pokazała wszystkie swoje suknie. Podczas gdy grzebały w skrzyniach, nadeszła siostra Potencja i złażała je, nie było to bowiem stosowne zajęcie przy niedzieli. Z tego powodu poczuła się Krystyna znowu nieszczęśliwa; nigdy jeszcze nie była napominana przez kogokolwiek prócz własnej matki, czym innym zaś było karcenie przez obcych.

Ingebjørga nic sobie z tego jednak nie robiła. Kiedy wieczorem położyły się razem do łóżka, gadała dopóty, dopóki Krystyna nie zasnęła. Dwie starsze siostry świeckie spały w kącie izby; miały one uważać, aby dziewczyny nie zdejmowały w nocy koszul, reguła bowiem zabraniała spania nago, i miały dbać o to, by wstawały na jutrznię. Poza tym jednak nie troszczyły się zgoła o porządek w sypialnej komnacie i udawały, że nie widzą, gdy dziewczęta nie spały, tylko szeptały między sobą lub spożywały smakołyki ukryte w skrzyniach.

Gdy nazajutrz rano obudzono Krystynę, Ingebjørga była już w środku jakiegoś opowiadania, tak iż Krystyna była niemal pewna, że tamta przegadała całą noc.

Obcy kupcy, którzy przez lato zatrzymywali się i handlowali w Oslo, przybyli do miasta na wiosnę około świętego Krzyża, to jest na dziesięć dni przed uroczystością św. Halvarda. W tym czasie napływały do miasta tłumy ludzi z wszystkich miejscowości położonych między jeziorem Mjøsa a granicą kraju, tak że w pierwszych tygodniach maja miasto roiło się od przybyszów. Najkorzystniej też było kupować u obcych, zanim wyprzedali większą część towarów.

Siostra Potencja załatwiała zakupy dla klasztoru i w przeddzień świętego Halvarda przyrzekła Krystynie i Ingebjørdze, że je zabierze do miasta. Koło południa jednak przybyło do klasztoru kilku jej krewnych w odwiedzinę, nie mogła więc tego dnia wyjść. Ingebjørga uprosiła ją tedy, by mogły iść same, chociaż sprzeciwiało się to regułom. Dodano im do towarzystwa staro-go chłopca, jałmużnika klasztoru; zwał się on Haakon.

Krystyna przebywała tu już trzy tygodnie i przez cały czas noga jej nie przestąpiła dziedzińców i ogrodów klasztornych. Była zdumiona, jak wiosennie zrobiło się na dworze. Małe gaiki stały bladozielone w otwartej przestrzeni, sasanki krzewiły się gęsto niby dywan między jasnymi pniami; oślepiające chmury – zwiastuny pogody – żeglowały nad wysepkami fiordu, a powierzchnia wody leżała świeża, niebieska i pomarszczona od lekkich wiosennych podmuchów.

Ingebjørga podskakiwała, zrywała zielone pędy drzew, wachała je i oglądała się za ludźmi, których spotykali. Haakon zburczał ją: czyż to wypada, aby dziewica ze szlacheckiego rodu, jeszcze do tego w klasztornej szacie, tak się zachowywała? Dziewczęta musiały wziąć się pod rękę i iść tuż za nim cicho i skromnie, ale oczy i usta Ingebjørgi latały dalej – Haakon był nieco głuchawy. Krystyna także była już w odzieniu młodych siostr; miała na sobie jasnoszarą suknię i pas z nie farbowanej wełny, a na sukni proste granatowe okrycie z kapuzą, którą zarzuciła na głowę tak, że zupełnie nie widać było splecionych taśmą warkoczy. Haakon szedł przed nimi z wielką laską zakończoną mosiężną gałką. Był w luźnej czarnej szacie,

na piersi miał *Agnus Dei* z blachy, na kapeluszu zaś wizerunek świętego Krzysztofa, siwe włosy i broda były tak starannie wyszczotkowane, że lśniły w słońcu jak srebro.

Górna część miasta, od potoku płynącego pod klasztorem aż do biskupiego dworu, była zazwyczaj cichą dzielnicą, nie stały tu ani budy, ani gospody, dwory należały przeważnie do możnych okolicznych rodów, a domy zwracały ku ulicy ciemne, pozbawione okien belkowania. W ten jednak dzień także tu w górze płynęły przez ulice gromady ludzi, a służba domowa stała beczynnie, oparta o płoty, i gawędziła z przechodniami.

Kiedy podeszli do biskupiego dworu, przed kościołem św. Halvarda i klasztorem św. Olafa był już ogromny tłok. Na porośniętym trawą zboczku rozbito stragany i kuglarze popisywali się wyczynami psami, każąc im skakać przez obręcze. Haakon nie pozwolił dziewczętom stawać i przyglądać się ani wejść do świątyni; mówił, że lepiej obejrzeć ją w jakieś inne wielkie święto.

Na otwartym placu przed kościołem św. Klemensa Haakon ujął obie dziewczyny pod ręce, gdyż tutaj ciżba była największa. Ludzie nadchodzili z przystani albo od strony ulic leżących między dworami kupców. Dziewczęta chciały się dostać na dwór Mykle, gdzie siedzieli szewcy. Ingebjørga uznała bowiem, że suknie Krystyny są dobre i ładne, ale obuwie jej było nie do użycia na wypadek, gdyby zechciała się wystroić. Gdy zaś Krystyna ujrzała zagraniczne trzewiki, których Ingebjørga miała kilka par, zdawało się jej, że nie zazna spokoju, nim sobie nie kupi takich samych.

Dwór Mykle był jednym z największych dworów w Oslo, sięgał od przystani aż do ulicy Szewskiej i obejmował prócz czterdziestu domów dwa wielkie dziedzińce. Teraz poustawiano tam wszędzie kramy z płóciennymi dachami; nad nimi wznosiła się kolumna świętego Kryspina. Panował tu ożywiony ruch, kobiety z garnkami i miskami biegały od jednej kuchni do drugiej, dzieci płątały się pod nogami starszych, to wyprawdzano ze stajni konie, to wprowadzano je do niej, przy straganach pacholcy wnosili i wynosili ciężary. Na gankach, ciągnących się wzdłuż wyższych pięter, gdzie odbywała się sprze-

daż najlepszych towarów, szewcy i ich czeladnicy wykrzykiwali w stronę stojących na dole dziewcząt, wymachując pstrykami, złotem haftowanymi trzewikami. Ingebjørga zmierzała do domu, w którym mieszkał Dydrek *sutare*; był on Niemcem, żonę miał jednak z Norwegii i posiadał domostwo we dworze Mykle.

Stary targował się właśnie z jakimś panem w podróżnym stroju, z mieczem przypasanym do boku; Ingebjørga wystąpiła śmiało naprzód, skłoniła się i rzekła:

– Zacny panie, pozwólcie, że pierwsze pomówimy z Dydrekiem, musimy bowiem jeszcze przed nieszporami zdążyć do naszego klasztoru. Wam może nie tak pilno?

Pan ukłonił się i odstąpił na bok. Dydrek szturchnął Ingebjørgę łokciem pytając ze śmiechem, czy tyle tańczą w klasztorze, że wydeptała już wszystkie trzewiki, kupione w zeszłym roku. Ingebjørga oddała szturchańca i rzekła, że jej trzewiki są, niestety, jeszcze całe, oby to Bóg odmienił, ale ta oto dziewica... i pociągnęła Krystynę. Dydrek i jego pomocnik wynieśli skrzynię na ganek i zaczęli wykładać przed nimi trzewiki, jedne piękniejsze od drugich. Krystyna musiała usiąść na skrzyni, a Dydrek przymierzał jej na próbę przeróżne trzewiki: białe, brązowe, czerwone, zielone, niebieskie, z drewnianymi malowanymi obcasami i bez obcasów, z klamrami albo jedwabistymi wstęgami, z dwu- lub trójbarwnej skóry. Krystynie zdawało się, że na wszystkie prawie ma ochotę, lecz posłyszawszy cenę, przeraziła się wprost: żadna para nie kosztowała mniej niż krowa u nich w domu. Ojciec dał jej na odjezdnym sakiewkę z pół funtem srebra w monecie – miało to być wrzecionowe i Krystynie wydawało się wielkim majątkiem. Zauważyła jednak, że Ingebjørga sądzi, iż nic nadzwyczajnego nie będzie mogła za to kupić.

Ingebjørga musiała również dla żartu przymierzać trzewiki. – To przecież nic nie kosztuje – mówił Dydrek ze śmiechem. Kupiła sobie parę zielonych jak trawa, z czerwonymi obcasami; kupiła je na kredyt, ale Dydrek znał przecież dobrze i ją, i jej rodzinę.

Krystyna domyśliła się jednak, że Dydrek czyni to niechętnie, a poza tym jest zły, bo ów możny pan w podróżnym stroju

odszedł tymczasem – zbyt długo zabawiły przy mierzeniu. Wybrała więc parę trzewików bez obcasów, z cienkiej, błyszczącej, niebieskiej skóry, wybijanych srebrem i różowymi kamieniami. Nie podobały jej się tylko zielone obszywki na nich. Wówczas Dydrek oświadczył, że może je zmienić, i pociągnął ją do kąta w tyle spichrza. Stała tam szafka z jedwabnymi wstęgami i srebrnymi klamrami – tych towarów nie wolno było właściwie szewcom sprzedawać – wstążki też były za szerokie, a klamry, przynajmniej wiele z nich, zbyt ciężkie do obuwia.

Musiały kupić to i owo z drobiazgów, a gdy jeszcze wypily z Dydrekiem trochę słodkiego wina i opakował wreszcie ich rzeczy w kawałek fryzy, zrobiło się dość późno. Sakiewka Krystyny była teraz o wiele lżejsza.

Kiedy wyszły znowu na miasto, słońce świeciło złotawo, a ponad zapełniającą ulice ciżbą ludzką wirował pył niby jasny dym. Było ciepło i pięknie; ludzie wracali z Eikebergu z pękami młodych gałęzi, aby ozdobić swe izby na święto. Wtedy to strzeliła Ingebjørdze do głowy myśl, żeby iść jeszcze do Gjeitabru; tam na błoniach, po drugiej stronie rzeki, bawiono się zazwyczaj wesoło podczas jarmarków, bywali tam kuglarze i rybacy. Ingebjørga słyszała nawet, że przyjechał cały statek z zamorskimi zwierzętami, które pokazywano w budach na wybrzeżu.

Haakon wypił na dworze Mykle sporo niemieckiego piwa, był zatem potulny i w dobrym humorze; gdy więc dziewczęta wzięły go pod ręce i pięknie prosiły, zgodził się w końcu i wszyscy troje poszli w kierunku Eikebergu.

Na przeciwległym brzegu znajdowało się tylko kilka niewielkich dworów, rozsypanych na zielonych wzgórzach między rzeką a stromym zboczem góry. Przeszli obok klasztoru franciszkanów i serce Krystyny ścisnęło się ze wstydu, gdyż przypomniała sobie, że miała większą część srebra ofiarować za spokój duszy Arnego. Księdzu w klasztorze nie powiedziała o tym, obawiała się, że ją będą wypytywać, myślała, że raczej uda się do braci bosych, o ile brat Edwin już powrócił, tak chętnie ujrzałaby go znowu. Nie wiedziała jednak, w jaki sposób najstosowniej będzie przedstawić zakonnikowi podczas rozmowy

swój zamiar. Teraz nie miała już tyle pieniędzy i nie wiedziała, czy uda się jej zakupić mszę; może będzie musiała zadowolić się ufundowaniem grubej woskowej świecy.

Nagle usłyszeli ryk przerażenia z niezliczonych gardzieli od strony łąki nadbrzeżnej. Jak gdyby burza wstrząsnęła skłębiona ludzką gromadą – cały tłum runął w popłochu w ich stronę z wołaniem i krzykiem. Wszystkich ogarnęła dzika groza, a niektórzy z uciekających wrzeszczeli, że pantery wyłamały się z klatki.

Śpiesznie pobiegli z powrotem do mostu i usłyszeli wołanie ludzi, że zawałiła się jedna z bud i dwie pantery uciekły; niektórzy mówili też o wężu. Im bliżej mostu, tym większy był tłok. Jakaś kobieta tuż przed nimi wypuściła dziecko z rąk. Haakon stanął przed maleństwem chcąc je osłonić – i wkrótce ujrzały go daleko od siebie niosącego dziecko na rękach; rychło zniknął im zupełnie z oczu.

Na wąskim moście ludzie cisnęli się tak gwałtownie, że dziewczęta zostały wypchnięte na łąkę. Widziały, jak ludzie biegną na brzeg rzeki; młodzi chłopcy rzucali się w wodę i płyli, starsi wskakiwali do łodzi; które zapełniały się w mgnieniu oka.

Krystyna usiłowała wołać na Ingebjørgę. Krzyknęła, by biegnęły do klasztoru franciszkanów, z którego już śpieszyli szarzy bracia, uspokajając i skupiając wokół siebie tłum. Krystyna nie bała się tak jak jej towarzyszka – nie było przecież śladu dzikich zwierząt, lecz Ingebjørga zupełnie postradała zmysły. I gdy masa ludzka znów zakołysała się i została odepchnięta od mostu przez gromadę mężczyzn, którzy tymczasem uzbroili się w pobliskich dworach i teraz wypadli – część pieszo, część konno – Ingebjørga omal nie dostała się pod kopyta koni. Wydała przeraźliwy krzyk i w ogromnych susach pobiegła w górę do lasu. Krystyna nie przypuszczała nigdy, że tamta potrafi tak biec, mimo woli porównywała ją w myśli do ściganej świni; biegnęła jednak za nią, aby przynajmniej one nie straciły się z oczu.

Były już głęboko w lesie, gdy wreszcie udało się Krystynie zatrzymać Ingebjørgę. Znajdowały się na wąskiej ścieżce, prowadzącej prawdopodobnie do Traelaborgu. Przez chwilę

stały, by zaczerpnąć tchu. Ingebjørga łkając i zalewając się łzami oświadczyła, że nie odważy się za nic wracać sama do miasta i klasztoru.

Krystynie również nie wydawało się to bezpieczne wobec niepokoju na ulicach; radziła więc, by starały się znaleźć jakiś dom, tam wynajmą chłopca, który je odprowadzi do klasztoru. Ingebjørga była pewna, że w dole nad brzegiem rzeki biegnie gościniec do Traelaborgu, a przy nim muszą znajdować się domy. Szły więc dalej ścieżką.

W podnieceniu, jakie je ogarnęło, zdawało się im, że już uszły spory kawał, gdy wreszcie ujrzały jakiś dwór stojący w szczerym polu. Na dziedzińcu, przy stole pod jesionami, siedziało kilku mężczyzn, a jakaś kobieta kręciła się i wynosiła im dzbany. Spode łba i ze zdziwieniem spojrzała na dwie dziewczyny w klasztornym stroju, a kiedy Krystyna przedłożyła swą prośbę, wydawało się, że żaden z mężczyzn nie ma ochoty ich odprowadzić. W końcu wstali dwaj młodzi chłopcy i oświadczyli, że zaprowadzą je do klasztoru, jeśli Krystyna da im ørtuga*.

Po mowie poznała, że nie są Norwegami, wyglądali jednak zupełnie przyzwoicie. Żądana zapłata wydawała się jej bezwstydnie wygórowana, lecz Ingebjørga była wystraszona, zresztą nie mogły tak późno wracać same do klasztoru, zgodziła się przeto.

Nie doszły do leśnej ścieżki, a już młodzieńcy zbliżyli się i zaczęli rozmowę. Krystynie nie podobało się to wcale, nie chciała jednak okazać trwogi, odpowiadała zatem spokojnie, mówiła o panterach i pytała chłopców, skąd pochodzą, rozglądała się i udawała, że każdej chwili oczekuje ludzi, którzy im towarzyszyli, mówiła tak, jakby ich była cała gromada.

Chłopcy z wolna zamilkli, zresztą mało co rozumiała z ich mowy.

Po pewnym czasie zauważyła, że nie idą tą drogą, którą przyszły, ścieżka prowadziła w zupełnie innym kierunku, bar-

* Ørtug – $\frac{1}{3}$ øre. 1 marka srebrna równała się 8 øre po 3 ørtugi, 1 ørtug równał się 10 groszom.